

Tomasz Witkowski

Robuś i one

Zapach. To jest to pierwsze, co człowieka tutaj osacza. Zapach środków dezynfekcyjnych zmieszany z zapachem starości: niewietrzonych ubrań, niedopranych ręczników, próchniejących mebli.

Urzędowa zieleń wije się po ścianach, zasłony wesołe, aż do przesady, ale wbrew tym oficjalnym niejako oznakom szczęścia – smutek. To ten zapach i te oczy. Oczy wyblakłe, już teraz nie wiadomo – szare, niebieskie czy piwne - obserwujące przybysza, wyczekujące, zaciekawione, ale i jakby zastrachane.

Idę miękkim korytarzem, szpalerem tych oczu nieomal niewidocznych, a jednak nachalnych. Niektórzy siedzą na stołeczkach przed drzwiami swoich pokoi, jakby się bali, że jakaś nowość ich ominie, że to ważne nie znajdzie ich za drzwiami. Inni siedzą w jadalni, wpatrzeni w ekran telewizora, przez który przesuwają się inne, gwarne, bogate życie.

- Mamy też i pojedyncze pokoje – mówi dyrektor – ale mało. Przydzielamy je chorym albo uciążliwym we wspólnych pokojach, albo po prostu najdłużej tu mieszkającym.

- O, tu właśnie mieszka babcia Marianna. Tak ją wszyscy nazywamy. Otwiera drzwi. Standard urządzenia złagodzony dzbanuszką niebieską, w którym chwieje się bukiet suchego zboża, traw srebrzystych i drobnych żółtych kwiatuśków. Przez lufcik wpada prąd zimnego powietrza i rozczesuje te trawy. Ona podnosi oczy – oczy jakby za szkłem. Dwa siwe pasma włosów rozdzielone starannie, przytrzymuje chustką krakowską związaną na kokardkę pod różową, okrągłą brodą.

-.-.-.-

Dyrektor: „Pozwoliliśmy babci Mariannie na trzymanie tu własnej komody, na ustawienie własnych drobiazków. Babcia, niech że babcia opowie panu o swoim życiu!”

„Moje życie? Cóż kogo obchodzi moje życie? Tli się i tli, jak ten torf pod blachą. Jak się trafi taka pogrzewna bryła, to noc minie, zimno już na kuchni, myślisz popiół, a poruszysz pogrzebaczem, a tam jeszcze żar. Tak i ze mną. Osiemdziesiąt lat już minęło, tyle ludzi już

przeszło koło mnie, a ja się kołaczę.” Głos ma niezrównoważony, trochę niby zachrypnięty, ale od czasu do czasu wystrzela w nim jakiś ton wysoki.

Dyrektor stoi w progu niezdecydowany. „Odszukam pana za jakoś godzinę, jeśli pan pozwoli i jeśli pani zechce ze mną pomówić.” - Pomówić? A o czym pan ma mówić ze starą babą!? Mnie już ten świat niewiele obchodzi, a pana cóż ja mogę obchodzić?

- Pani z daleka?

- Jak tu odpowiedzieć? Przez osiemdziesiąt lat to można świat obejść. Obeszłam i ja kawał świata, zanim tu przyszłam.

Sięga po album staroświecki, zeszyty sznurkiem – z grubych kartonów. Każda fotografia ma w nim ramkę osobną, obrysowaną secesyjną ozdóbką.

- To mój ojciec, jak przyszedł z wojny. W carskim mundurze. A to mama. I my, pięcioro nas było. Kartki lecą z szelestem, zakrywają sylwetki ludzi w staromodnych ubraniach. Męża miałam pijaka, choć urzędnikiem był na państwowej posiadzie. Zginął marnie: wpadł po pijanemu pod pociąg, nogi mu obcięło – i został. Ale my już nie byliśmy wtedy razem. Zostawiłam go, gdy mój synek umarł. Doktor powiedział, że wrzody, który od urodzenia miał, to przez ten alkoholizm. Znienawidziłam go – i poszłam. Sklep prowadziłam. A właściwie pracownię kapeluszy. Aż do wojny. Ale w wojnę nikt kapeluszy nie nosił. A i mnie się życie odmieniło.

Twardy i suchy szelest kart.

- O, widzi pan? To Robuś. Tłusty nagus z wypiętym tyłkiem na kozuchu. Śliczny, prawda? Tu już Robuś ma roczek i ciała nabrał, bo gdy jego matkę zabrali, a ojca, który za nią się wstawił, zastrzelili, to miał osiem tygodni. I został z babką, prawie taką starą ja teraz i schorowaną. Było to już niby po końcu wojny. Niemcy ich zabrali, znaczy całą rodzinę, do Prus Zachodnich na roboty. Rosjanie tuż po wyzwoleniu zabrali się za rozbiórkę szlaku kolejowego Bytów-Lębork, linia numer 237. To się działo w Soszycy nad Słupią. Ona zawsze była atrakcyjna. Wpadło dwóch żołdaków i od razu do niej. Ojciec Robusia stanął w obronie. Zastrzelili jak psa, a ją zabrali. Jak go zobaczyłam, Robusia, znaczy się, chudziutkiego jak palec, to mnie taki żal zdjął, że o mało mi serce nie pękło. Ale i odwaga we mnie stąpiła i siła. Szmuglowałam ja, szylałam, robiłam na drutach, ale dziecku niczego nie brakowało. Ile ja nocy nie przespałam, ile kilometrów z plecakiem zrobiłam, proszę pana! Ale za to, gdy Robuś mnie zobaczył, pędził, jak szalony: Ciocia! Ciocia! Jak dobrze!

Albo nocą siedzę i patrzę, a ono oddycha równiutko, buzia różowa, włoski złociste na poduszce, rączka zwinięta w piąstkę. To tak mi dobrze, tak dobrze, że do dziś, gdy sobie wspomnę, ciepło mnie ogarnia. A mądre, a roztropne to było dziecko. Na wszystko ma odpowiedź gotową. A gdy coś stłucze, albo spsoci, to rączyny składa i przeprasza. Dobrze nam było razem. I myślałam, że tak będzie zawsze, on będzie rósł, ja będę pracowała, jego matka – jak Bóg da – wróci i będzie nam dobrze. I wróciła.

.-.-.-.

Obca, wysoka, blada kobieta stoi w progu. Wyciąga chude ręce. Strach.

- Ciociu! Ciociu! - i tuli się do mnie. Do biskiej, ciepłej znajomej cioci Marianny. On był do mnie przyzwyczajony, a jej nie znał. Ale przecież przyzwyczailby się i do niej.

Matka Roberta, pani profesorka, osoba wykształcona, uważała, że dziecko jest rozpieszczone, że źle wychowane. Powinien się gimnastykować, pływać, uczyć się języków.

- Proszę, pani, przecież to kruszyna, jeszcze nie ma sześciu lat.

- Właśnie teraz jest najlepsza pora na to.

Robuś do mnie się garnął, a od niej uciekał. I przez to pewnie przyszedł ten dzień, a właściwie ta noc. Wieczór był, pamiętam. Lampa się paliła, dziecko spało w cieniu, a ona siedziała w świetle. Ręce splotła, o mało palców nie połamię.

- Pani Mario, powiada - muszę z panią pomówić. A moje serce już trzepocze, już wie, co to będzie za mowa.

- Mam jednego syna i nie mogę go stracić. To jest moje dziecko, ja jestem odpowiedzialna za jego wychowanie. Wiem, ile pani zawdzięczam, ale musimy się rozstać. Pani nie może tutaj pozostać.

Stara kobieta chwieje głową. Oczy blade, zamglone podnosi. Widzi pewnie ten wieczór letni, a taki zimny, kiedy zamknęły się tamte drzwi.

.-.-.-.

Gdzie ciocia? Gdzie jest moja ciocia? Nigdy cię nie będę kochał, jak nie zawołasz cioci! A potem bicie nogami w podłogę, długie, długie, daremne. I szloch aż do zupełnego wyczerpania – daremny.

.-.-.-.

Przyszedł kiedyś do mnie z laurką na imieniny. Nóżką szastnął, wierszyk powiedział, słowa połyka z podniecenia, ale na nią, na matkę – znaczy się – patrzy. Porwałam go i przytuliłam. Robusia najmilszego, ale ona nas skarciła: pani Mario, bez zbytnich czułości. Robert jest już dużym chłopcem! I tak oto zaszło słońko mojego życia. Tylko ten album mi pozostał. Przeglądam go – i tak, jak inni na telewizję patrzą, ja swoje dawne życie oglądam i przy tych myślach się grzeję....

.-.-.-

Moja sztywna, zimna surowa matka. Oczywiście chciała jak najlepiej. Wybrała mi zawód – prawo, choć kochałem muzykę. Wybierała mi kolegów – układnych i przemyślanych, a przepędzała wesołych i szczerych chłopaków z podwórka. Byłem dla niej wiecznym kłopotem, nigdy nie dorosłem do wzorców, które mi stawiała, nigdy nie zaspokoilem jej ambicji. Nie skończyłem prawa, nie skończyłem szkoły muzycznej. Koledzy – mądrale, dziś na stanowiskach nie poznają mnie, rówieśnicy z podwórka nie znają mnie także. Ciociu, ja nawet nie mam takiego albumu, nie mam tego płomyka. Podrzędny dziennikarzyna z prowincjonalnej gazety.

.-.-.-

Tak, proszę pana, cóż może być ciekawego w życiu starej, prostej kobiety. Co było, minęło. Co będzie, wiadomo....

Zachód czerwonym światłem zalewa pokoik. I dwoje obcych sobie ludzi. I dobrze. Wszystko można złożyć na ten ostry blask, który każe spuścić oczy.